

STAR WARS™

LEIA

• KSIĘŻNICZKA ALDERAANA •

CLAUDIA GRAY

TŁUMACZYŁA
Marta Duda-Gryc

STAR WARS[™] CHRONOLOGIA



WIELKA REPUBLIKA

ŚCIEŻKA ZDRADY
KONWERCENCJA
WYPRAWA DO ZAGINIONEGO MIASTA
ŚWIATŁO JEDI
W CIEMNOŚĆ
PRÓBA ODWAGI
BURZA NADCIĄGA
NA RATUNEK VALO
POŚRÓD CIENI
FATALNA MISJA
GASNĄCA GWIAZDA
HORYZONT PÓŁNOCY



UPADEK JEDI

DOOKU: STRACONY DLA JEDI
OPowieści JEDI
MISTRZ I UCZEŃ

MROczne WIDMO. EPIZOD I

PRÓBA KRÓLOWEJ
CIeŃ KRÓLOWEJ

ATAK KLONÓW. EPIZOD II

NADZIEJA KRÓLOWEJ
BRACIA
WOJNY KLONÓW
KATALIZATOR (wprowadzenie do filmu *Łotr 1. Gwiezdne wojny – historie*)
DYNASTIA THRAWNA. CHAOS
DYNASTIA THRAWNA. WYŻSZE DOBRÓ
DYNASTIA THRAWNA. MNIEJSZE ZŁÓ
MROczNY UCZEŃ (na podstawie niezrealizowanych odcinków serialu *Wojny klonów*)

ZEMSTA SITHÓW. EPIZOD III



RZĄDY IMPERIUM

PARSZYWA ZGRAJA
AHSOKA
THRAWN
LORDOWIE SITHÓW
TARKIN
WIELKA UCIECZKA (wprowadzenie do filmu *Han Solo. Gwiezdne wojny – historie*)
HAN SOŁO. GWIEZDNE WOJNY – HISTORIE
WOJENNE BLIZNY
NOWY ŚWIT (wprowadzenie do serialu *Rebelianci*)
UTRACONE GWIAZDY
OBI-WAN KENOBI

ANDOR
LEIA, KSIĘŻNICZKA ALDERAANA
REBELIANCI
THRAWN. SOJUSZE
THRAWN. ZDRADA



ERA REBELII

ŁOTR 1. GWIEZDNE WOJNY – HISTORIE

NOWA NADZIEJA. EPIZOD IV

Z PEWNEGO PUNKTU WIDZENIA
BATTLEFRONT II. ODDZIAŁ INFERNO
UCIECZKA SZMUGLERÓW. PRZYGODY HANA SOŁO I CHEWBAKKI

DZIEDZIC JEDI

MIECZ JEDI. PRZYGODY LUKE'A SKYWALKERA
BATTLEFRONT. KOMPANIA ZMIERZCH

IMPERIUM KONTRATAKUJE. EPIZOD V

RUCHOMY CEL. PRZYGODY KSIĘŻNICZKI LEI

POWRÓT JEDI. EPIZOD VI



NOWA REPUBLIKA

ESKADRA ALFABET
ESKADRA ALFABET. PUSTE SŁOŃCE
ESKADRA ALFABET. CENA ZWYCIĘSTWA
KONIEC I POCZĄTEK
KONIEC I POCZĄTEK. DŁUG ŻYCIA
KONIEC I POCZĄTEK. KRES IMPERIUM
OSTATNI STRZAŁ
THE MANDALORIAN
THE MANDALORIAN. SEZON 2
KSIĘGA BOBY FETTA
THE MANDALORIAN. SEZON 3
AHSOKA
CIeŃ SITHÓW
WIEZY KRWI



NASTANIE NAJWYŻSZEGO PORZĄDKU

PHASMA
RUCH OPORU

PRZEBUDZENIE MOCY. EPIZOD VII

ESKADRA KOBALTOWA (wprowadzenie do filmu *Ostatni Jedi*)

OSTATNI JEDI. EPIZOD VIII

SKYWALKER ODRODZENIE. EPIZOD IX

ROZDZIAŁ 1

Datę Dnia Żądania ogłoszono wiele miesięcy wcześniej. Goście przybyli z całej galaktyki, a w korytarzach pałacu unosiły się kuszące wonie potraw przygotowywanych na bankiet. Pogoda nie raczyła współpracować z planem uroczystości – niskie, ciemne chmury wisiały nad Alderą, grożąc miastu ulewą – jednak nawet burza nadchodziła majestatycznie, teatralnie budując napięcie.

Stanowiła idealne tło dla księżniczki, która miała dziś publicznie zażądać uznania jej prawa do tronu Alderaana.

– Au! – Leia skrzywiła się paskudnie. – Ciągnie!

– I będzie ciągnęło – oświadczyła WA-2V, osobista droidka Lei. Jej błękitne metalowe palce zwinnie splatały ostatni warkocz w skomplikowanym, tradycyjnym wzorze. – Dziś naprawdę musisz wyglądać doskonale.

– Mówisz to codziennie. – W dzieciństwie Leia marzyła tylko o jednym – aby wiązać włosy w koński ogon. Rodzice powiedzieli, że może robić, co chce, ale 2V się nie ugięła. Jej oprogramowanie wymagało od niej dbania o wytworny wygląd księżniczki i nawet sama Leia nie mogła jej się w tym względzie sprzeciwić.

– Bo to prawda – codziennie. – 2V upięła warkocz na głowie Lei. – A przy szczególnych okazjach nasze standardy stają się jeszcze wyższe!

Leia poczuła, że ściska ją w żołądku – na poły z nerwów, na poły z niecierpliwości. Miał to być najważniejszy dzień w jej życiu od pierwszego dnia imienia, kiedy rodzice przynieśli ją do sali tronowej i ogłosili, że jest ich córką – adoptowaną i kochaną...

Odsunęła od siebie te myśli. Wtedy była przecież tylko niemowlęciem w ramionach matki. Tym razem musi zrobić to sama.

Kiedy układanie fryzury się zakończyło, Leia z ulgą włożyła to, co ustaliły z 2V drogą kompromisu: prostą białą suknię – wybraną przez siebie – i wyrazistą srebrną biżuterię, przy której uparła się droidka. Kiedy wsunęła stopy w satynowe pantofelki, w sali tronowej rozległa się fanfara, roznosząc się echem po korytarzach pałacu. Poczowała się tak, jakby rodzice osobiście pukali do jej drzwi.

– Jeszcze jedno! – zakrzyknęła 2V. Podjechała do szafki – poruszała się na niewielkim kółku – a potem zawróciła. W ręce trzymała srebrzystą opaskę, którą umocowała zręcznie między warkoczami, żeby zwisająca z niej perła znalazła się na środku czoła Lei. – Tak. Tak właśnie! Wyglądasz oszalamiająco! Jestem cudotwórczynią – naprawdę!

Leia pokręciła głową z rozbawieniem.

– Wielkie dzięki, 2V.

Droidka, nie zwracając uwagi na sarkazm, zaczęła popychać Leię do drzwi.

– Szybko! Wszyscy na ciebie czekają.

– Przecież nie mogą zacząć beze mnie, 2V. – Leia podniosła jednak tren i szybkim krokiem ruszyła korytarzem. Nie chciała się spóźnić. Dawniej księżęta i księżniczki, którzy żądali uznania swoich praw do tronu, musieli niekiedy siłą torować sobie drogę do sali tronowej. Miały to być chwile, gdy kandydat okazuje siłę i pewność siebie – nie powinien więc dawać do zrozumienia, że nie potrafi nawet przestrzegać punktualności.

Królewski pałac na Alderaanie powstawał przez ponad tysiąc lat. Tutejszą monarchią kierowała zasada służenia obywatelom planety, dlatego władcy nigdy nie budowali wysokich iglic czy przytłaczających wież, górujących nad krajobrazem. Co kilkadziesiąt lat dodawano tylko nowe pomieszczenia i tak powstał rozległy labirynt, w którym nowoczesne centra danych i holosale sąsiadowały z wielowiekowymi komnatami wykutymi w kamieniu. Leia знаła na wylot każdy korytarz i każde drzwi. W dzieciństwie uwielbiała odkrywać mroczne, ukryte przejścia. Czasem przychodziła jej do głowy myśl, że być może jest pierwszą osobą od wieków, która odwiedziła każde pomieszczenie w pałacu.

Na szczęście знаła skrót przez starą zbrojownię, dzięki czemu dotarła do antyszambru sali tronowej z dużym zapasem czasu. Królewscy gwardziści uśmiechnęli się do niej i Leia odpowiedziała tym samym, poprawiając sobie peleyrnę. Szepnęła do wyższego gwardzisty:

– Jak tam małeństwo?

– Przesypia już całą noc – odszepnął. Leia zaklaskała bezgłośnie, a mężczyzna pochylił głowę, kryjąc z lekkim zawstydzeniem szeroki uśmiech.

Leia nie wiedziała za wiele o niemowlętach, poza tym, że rodzice zawsze się nimi szcycili, chociaż nie pozwalały się nikomu wysypiać. Ale jeśli gwardzistę radoowało, że jego maluch lubi spać, to ona cieszyła się razem z nim.

– Na Alderaanie mamy szczęście – powiedział kiedyś jej ojciec, kiedy siedzieli przy kominku w bibliotece. – Mieszkańcy planety nas kochają. Są wobec nas lojalni. To dlatego, że my też ich kochamy i jesteśmy im wierni. Jeśli kiedyś przestaniemy cenić tych, którzy nas otaczają – od najwyższego lorda po najskromniejszego pracownika – utracimy tę lojalność. I będziemy na to zasługiwali.

Do rzeczywistości przywrócił Leię szelest aksamitnej zasłony w drzwiach. Podeszła szybko do ściany, na której wisiał miecz Rhindon, ujęła rękojeść i zdjęła broń ze ściany. Ćwiczyła jej podnoszenie już kilka razy, ale ten ciężar za każdym razem ją zaskakiwał.

Pozycja: środek drzwi. Miecz: obie dłonie na rękojeści, ręce blisko ciała, ostrze do góry. Przemowa...

„Pamiętam przemowę” – powiedziała do siebie stanowczo. „Zdecydowanie ją pamiętam. Po prostu akurat w tej chwili wypadła mi z głowy, ale wszystko do mnie wróci, kiedy znajdę się przed setkami widzów...”

Zasłonę odsunęto. Leię zalało jasne światło, zabarwione dużymi taflami witraży. Dwustu gości odwróciło się jednocześnie w jej stronę. Stali po obu stronach niebiesko-złotego chodnika, który wiodł przez salę aż do złotych tronów Brehy i Baila Organów.

Leia ruszyła do przodu, trzymając miecz ostrzem do góry. Cichy pomruk grzmotów przypomniał jej, że powinna

być wdzięczna droidom kandelabrowym za światło, które kierowały do środka przez okna, bo w przeciwnym razie w sali panowałaby niemal zupełna ciemność. Ćwiczyła to wcześniej, ale raczej nie udałoby się jej tego zrobić z zamkniętymi oczami.

„Sama nie wiem, może byłoby łatwiej, gdybym nie mogła widzieć tych wszystkich gości, wlepiających we mnie wzrok”. Przez całe życie Leia stawiała przed tłumami, jednak tego dnia po raz pierwszy zgromadzeni mieli usłyszeć, jak przemawia oficjalnie – jako przyszła królowa.

Breha Organa miała na sobie brązową jedwabną suknię i włosy upięte wysoko w warkocze, przez które przepleciono sznury paciorków. Bail Organa ubrał się w tradycyjną długą tunikę wicekróla. Korona, przyniesiona z muzeum, spoczywała na marmurowym postumencie. Padał na nią blask droida kandelabrowego. Rodzice Lei wyglądali jeszcze bardziej królewsko niż zwykle, niemal nieprzystępnie. Czy bawił ich ten spektakl?

Leię chyba bawił, a raczej bawiłby, gdyby rodzice zaprosili mniej świadków. Zwykle tej uroczystości przyglądało się niewielu cudzoziemców, tym razem jednak Bail zaprosił wielu swoich sojuszników z Senatu Imperialnego, takich jak Tynnra Pamlo z Taris, Cideron Malpe z Derelli czy Winmey Lenz i Mon Mothma z Chandrili. Kiedy Leia ją mijiała, Mon Mothma uśmiechnęła się szeroko. Pewnie chciała w ten sposób okazać jej wsparcie.

Było to miłe – jeśli tylko Mon Mothma nie dawała w ten sposób do zrozumienia, że Leia wygląda uroczo. W Dniu Żądania nie chodziło o bycie uroczym dzieckiem – ale o wkraczanie w dorosłość.

Kiedy Leia znalazła się na końcu sali, kilka metrów przed rodzicami, Breha wygłosiła pierwsze ceremonialne słowa:

– Kto ośmiela się zakłócać spokój królowej w jej siedzibie?

– To ja, Leia Organa, księżniczka Alderaana. – Wyuczona przemowa sama do niej wróciła. – Ukończyłam szesnaście lat. Staję przed wami z żądaniem, byście uznali, że tak jest, jak też powszechnie wiadomo.

Słowa „jak powszechnie wiadomo” stanowiły uzupełnienie najprostszej wersji rytualnych słów i były używane tylko w przypadku, gdy najstarszy potomek króla lub królowej został adoptowany. Leia skończyła szesnaście lat trzy lub cztery dni wcześniej. Nie знаła dokładnej daty swoich urodzin, zresztą zbytnio o to nie dbała. Stała się księżniczką Alderaana w swoim dniu imienia i dzisiejsza uroczystość odbywała się w rocznicę tego wydarzenia.

– Uznajemy, że osiągnęłaś wymagany wiek – rzekł Bail. Lekkie zmarszczki w kąciakach jego oczu zdradzały uśmiech, który jej ojciec próbował ukryć. – Dlaczego stajesz przed nami z bronią w ręku?

– Żądam uznania mojego prawa do tronu. – Leia uklękła zwinnie i jedną ręką uniosła nad głową miecz. Zabrzmiał daleki grom, tak potężny, że lekko zadrżała posadzka. – Żądam, abyście uznali mnie dziś za następczynię.

W sali tronowej rozległ się dźwięczny głos Brehy:

– Korony Alderaana się nie dziedziczy. Należy na nią zasłużyć. Następcą tronu musi dowieść ciałem, sercem i umysłem, że jest jej godny. Czy jesteś na to gotowa?

– Jestem, moja matko, moja królowo. – Z ulgą wstała i opuściła rękę z ciężkim mieczem. – Wybrałam trzy

wyzwania. Jeśli im sprostam, uznacie mnie za prawowitą następczynię tronu Alderaana.

– Wymień wyzwania, a my postanowimy, czy są godne tronu – odparł Bail, choć przecież znał już je wszystkie. Przez chwilę Leię kusiło, żeby wymyślić coś głupiego. „Nauczę się zonglować i będę występować jako tancerka pióra i ognia. Czyż nie jesteście ze mnie dumni?”

Ale ćwiczyła tę przemowę tyle razy, że słowa wyszły z jej ust wręcz automatycznie.

– Aby sprostać wyzwaniu ciała, wejdę na sam szczyt Ap-penzy. – Górę było widać z okna jej sypialni. Jej ciemna sylwetka wyglądała malowniczo na tle każdego zachodu słońca. – Aby sprostać wyzwaniu umysłu, nie będę już tylko towarzyszyć ojcu w Senacie Imperialnym, ale stanę się również przedstawicielką naszej planety w Parlamencie Młodzieży. Aby sprostać wyzwaniu serca, wyruszę z misjami humanitarnymi na planety potrzebujące pomocy, pokrywając ich koszty z mojego udziału w budżecie dworu. Wypełniając te trzy wyzwania, dowiodę mojego prawa do korony.

Breha pochyliła głowę.

– To szlachetne wyzwania. – Podniosła się z tronu, a Leia weszła na podniesienie i znów uniosła miecz w górę. Dłonie Brehy ujęły rękojeść – ich palce przez chwilę się splatały, a potem Leia puściła broń. – Biorę wszystkich tu obecnych za świadków! Jeśli moja córka sprostą tym próbom, zostanie uznana za prawowitą następczynię tronu Alderaana.

W sali zagrzmiały oklaski i radosne okrzyki. Leia dygnęła przed rodzicami, którzy uśmiechali się do niej z taką dumą, że przez chwilę wydawało się jej, jakby wszystko wróciło do normalności. Jakby dzięki ceremonii znów ją dostrzegali...

...Póki goście nie zaczęli się cisnąć wokół nich, żeby złożyć gratulacje, a wtedy rodzice odwrócili się, aby ich powitać – zamiast pogratulować własnej córce.

Bail pogrążył się w rozmowie z Mon Mothmą i jej znajomym, Winmeyem Lenzem, senatorem Chandrili. Breha ujęła dłonie senator Pamlo, najwyraźniej dziękując jej za przybycie.

O Lei już nie pamiętali.

– Leia, moja droga! – Podszedł do niej lord Mellowyn z Birrena, uśmiechając się pod obfitym białym wąsem. Byli w jakiś sposób kuzynami, choć skomplikowanych pokrewieństw wielkich rodów nikt już uważnie nie śledził. – Byłaś wspaniała.

– Dziękuję. – Uśmiechnęła się do niego tak uprzejmie, jak tylko mogła.

„To prawda. Wcale mi się nie wydaje. W ogóle nie zwracają już na mnie uwagi”.

„Czy zrobiłam coś nie tak?”

„A może po prostu przestałam być dla nich ważna?”



Nie chodziło o to, że się na nią o coś złościłi. Nie odwrócili się od niej przecież w jednej chwili, nie – po prostu w ciągu ostatnich kilku miesięcy powoli się od niej oddalali.

Leia nigdy nie miała wielu znajomych w swoim wieku. Alderaański ustrój monarchiczny cechował się egalitaryzmem, jednak zawsze istniał podział na tych, którzy mieszkali w pałacu, i pozostałych. Księżniczka bawiła się zatem na trawiastych zboczach ogrodów z dziećmi kucharzy, ale zwykle za towarzystwo służyli jej rodzice.

Bail i Breha Organa długo czekali na potomstwo. Mówili jej o tym wiele razy, głównie wtedy, kiedy na dobranoc opowiadali, jak to ojciec wrócił z tajemniczej misji i pokazał zaskoczonej matce niemowlę, które tulił w ramionach. Leia wiedziałaby, jak ważna dla nich była, nawet gdyby jej tego nie powiedzieli. Bo nieistotne, ile pytań zadawała – rodziców nigdy nie nużyło udzielanie odpowiedzi. Kiedy późno w nocy śniło jej się coś złego, nigdy nie zdawali się na nianię czy droida, jedno z nich zawsze do niej przychodziło – a czasem nawet oboje. Ilekroć wchodziła do pomieszczenia, w którym się znajdowali, natychmiast się do niej uśmiechali. Czuła się tak, jakby dawała im szczęście samym swoim istnieniem.

Wiele dzieci w takiej sytuacji skończyłoby jako rozpuszczone bachory. Leia jednak zawsze chciała wszystkim pomagać, a zwłaszcza ważnym dla niej osobom, i kochała rodziców tak, jak chyba nigdy nikogo nie mogłaby pokochać. Starła się więc interesować wszystkim, co robili. Breha uprawiała malastarskie orchidee, Leia zaczęła więc je sadzić i nauczyła się o nie dbać, tak by przystrajały się w jasnoróżowe kwiaty. Bail lubił tańczyć – Leia uczyła się zatem tańczyć i ćwiczyła z ojcem, aż stopy piekły ją z bólu.

Nie poczyniła aż takich postępów w zakresie obowiązków monarszych matki. Breha Organa zajmowała się księgowością królewską, prowadząc liczne konta dworu i osobiście nadzorując finansowanie całej działalności państwowej na planecie. Leia dzielnie próbowała wdrożyć się w podstawy rachunkowości. Szło jej nieźle, ale nienawidziła tego ze szczerego serca. Po tygodniu matka zwolniła córkę z tych lekcji, przytulając ją do siebie ze śmiechem.

– Ale czy nie powinnam się tego nauczyć, jeśli mam zostać królową? – zaprotestowała Leia.

– Nie, jeśli zakochasz się w kimś, kto lubi księgowość. – Breha puściła do niej oko. – A wtedy będziesz mogła zrzucić tę pracę na swojego wicekróla.

Rodzice podzielili się obowiązkami – matka zajmowała się sprawami Alderaana na planecie, zaś ojciec reprezentował planetę w Senacie Imperialnym i kierował dyplomacją. Podczas wojen klonów pełnił też funkcję przywódcy wojkowego i w dzieciństwie Leia uwielbiała słuchać o jego przygodach. Kiedy była starsza, poznała jednak mroczniejsze, smutniejsze historie – i odkryła, że to one głównie składały się na każdą wojnę.

Od całego pokolenia nie dochodziło jednak do większych konfliktów. Galaktyka zjednoczyła się w najgorszy z możliwych sposobów pod tyrańskimi rządami Imperatora Palpatine'a. Jako przedstawiciel jednego z najbardziej wpływowych Światów Jądra, Bail Organa należał do nielicznych członków Senatu Imperialnego, którzy byli w stanie nieco łagodzić autorytaryzm Imperatora. Polityka miała również swoje bitwy, a Leia dość szybko odkryła, że walka, jeśli jest ciekawa, bywa dla niej bardzo satysfakcjonująca. Od dwóch lat pracowała jako stażystka w biurze ojca w Senacie: zajmowała się korektą jego przemów i ćwiczeniem argumentacji w dyskusjach na różne tematy. Razem z nim relaksowała się po posiedzeniach Senatu, kiedy podróżowali do domu królewskim jachtem lub na pokładzie „Tantive IV”. Miała poczucie, że nie jest tylko córką Baila Organy, ale także jego współpracowniczką i napawało ją to dumą większą niż korona, którą miała kiedyś założyć.

Stała na wysokości zadania. Była dobrą córką. Dlaczego więc dla nich przestało być ważne bycie rodzicami?

Nie bili jej, nie zachowywali się wobec niej niemiło – sytuacja wyglądała gorzej.

Po prostu ją ignorowali.

Ojciec zaczął prowadzić coraz więcej prywatnych rozmów w gabinecie – do których Lei nie dopuszczano – z senatorami Uytera czy Kalamara. Zawsze zdarzały mu się takie spotkania, ale dawniej było ich kilka miesięcznie, a teraz nawet kilka dziennie. A potem Bail przez wiele godzin przebywał myślami gdzie indziej i ilekroć Leia próbowała trochę go wybadać, mówił jej stanowczo, że powinna zająć się swoimi obowiązkami. Zupełnie jakby polityka stała się dla niego ważniejsza od wszystkiego innego, w tym od córki.

Z matką sprawy potoczyły się jeszcze gorzej. Nagle zmieniła się w organizatorkę spotkań towarzyskich i spraszała dygnitarzy z całej galaktyki na wystawne bankiety, trwające niemal do rana. W dzień po takich przyjęciach Lei zdarzyło się nieraz przyłapać Brehę na drzemaniu nad księgami rachunkowymi. Odpowiedzialność wobec obywateli przestała mieć dla niej znaczenie – ważniejsze stały się wspaniałe przyjęcia.

Leia czuła, jak ich kącik świata kurczy się coraz bardziej, aż w końcu w obecności rodziców ledwo mogła oddychać. Wszystko, co mówiła lub robiła, zdawało się nie wywierać na nich najmniejszego wpływu. Choć była już zbyt duża, żeby wołać na pomoc rodziców, gdy budziła się z koszmaru, czasem i tak miała ochotę to zrobić.

Nigdy jednak ich nie wołała. Nie chciała zyskać pewności, że do niej nie przyjdą.



– Odejdź od tego okna – marudziła 2V, podjeżdżając do łóżka Lei i rozkładając na nim jedwabną narzutę. – Jeszcze cię trafi piorun...

Leia nie ruszyła się z fotela. Przez otwarte okna wpadały do pokoju poddmuchy burzowego wiatru, rozwiewając jej długie włosy, rozpuszczone na plecach. Obszerna biała koszula nocna zakrywała jej kolana, które dziewczyna obejmowała rękami, wpatrując się w niebo. Horyzont rozblęsnął jasno kolejną błyskawicą.

2V podjechała do niej, trzymając dłonie na sztywnym fartuchu zamocowanym na poziomie bioder.

– Wasza wysokość, błagam! To nie jest bezpieczne.

– Nie zostanę trafiona piorunem – mruknęła Leia. – Poza tym lubię burzę.

2V podjechała bliżej i spojrzała na nią groźnie.

– Moje oprogramowanie pozwala mi zabrać cię siłą w bezpieczne miejsce w razie dużego fizycznego zagrożenia.

– Dobrze już, dobrze. Idę. Widzisz? – Leia wstała z fotela przy oknie i poszła do łóżka. Było jednym z pozostałości wspanialszych czasów, wyrzeźbione z bezcennego twardego drewna z Glee Anselm i inkrustowane cienkimi, wijącymi się, złotymi i srebrnymi liniami. Dwór królewski nie marnował już pieniędzy na takie luksusy, ale Breha zawsze powtarzała, że głupio nie używać dobrego łóżka, diademu czy pałacu, skoro i tak już się je ma.

– Droidy protokolarne powiadomiły mnie, że byłaś dziś wspaniała. – 2V posprzątała na toaletce, odkładając na

miejsce pędzle i szczotki do włosów. – Jestem pewna, że twój wygląd spotkał się z dużym podziwem.

Na te słowa Leia musiała się uśmiechnąć.

– Wszyscy wiedzieli, że to wynik twojej ciężkiej pracy, 2V. Powinnaś być z siebie dumna.

2V załśniła z satysfakcją, ukloniła się lekko i wyjechała z pokoju. Gdy tylko zamknęły się za nią drzwi, Leia odrzuciła narzutę i wróciła do okna. Kolejna błyskawica uderzyła w ziemię, w połowie zakryta przez szczyt Appenzy. Przez chwilę góra odcinała się ostro od oślepiającego światła.

„Taka była piękna...” – Leia wyobraziła sobie, jak mówi to rodzicom przy śniadaniu... Choć oczywiście już nie jadal z nią śniadań. Zabierali się za planowanie kolejnego przyjęcia, zanim słońce pojawiło się na niebie.

Leia znów otworzyła okno i wpuściła do środka wiatr. Na policzkach i ramionach poczuła chłód drobnych kropelek deszczu. Uroczystość nie dorastała do jej wyobrażeń z dzieciństwa, ale burze takie jak ta zawsze dorównywały jej oczekiwaniom. Lubiła ich dzikość, nieprzewidywalność, a nawet odległe zagrożenie. Odkryła to w sobie niedawno – tę miłość do burzy – i bardzo ją ceniła, bo była to jedna z nielicznych rzeczy, których nie dzieliła z rodzicami. Miłość do burzy należała tylko do niej.

Chciała im jednak o tym kiedyś powiedzieć, gdy stosunki między nimi wreszcie staną się takie, jak dawniej.

„Jutro” – obiecała sobie. „Jutro podejmę pierwsze wyzwanie. Pokażę, co potrafię. Zrobię coś tak ważnego, że nie będą mogli tego zignorować”.

• ROZDZIAŁ 2 •

Do rozpoczęcia kolejnej sesji obrad Parlamentu Młodeży pozostały trzy tygodnie i Leia powinna już się do tego przygotowywać: zapoznać się z najważniejszymi problemami, pisać propozycje aktów prawnych. To właśnie zawsze robił jej ojciec przed powrotem na posiedzenia Senatu Imperialnego. Pomagała mu w tym od dwóch lat, dysponowała więc umiejętnościami pozwalającymi jej na podobną, ale samodzielną już pracę. A zatem powinna właśnie siedzieć w gabinecie wśród stosów dokumentów politycznych.

Zamiast tego pędziła przez główny kosmoport w Alde-
rze, a 2V dreptała u jej boku z szumem serwomechanizmów.

– Na miejscu powinnaś traktować oficerów imperialnych z szacunkiem – gładziła opiekunka. Właśnie miały krążownik typu Gozanti, do którego droidy załadunkowe pakowały skrzynie z towarami. – Udajesz się tam z misją humanitarną jako dyplomatka i musisz odpowiednio się prezentować. Księżniczka zawsze musi być ubrana stosownie do okazji.

– Dobrze, dobrze. – Leia westchnęła. Minęło wiele lat, odkąd przestała protestować przeciwko sukienkom i wymyślnym fryzutom, ale 2V wciąż uważała, że kiedy tylko spuści ją z oczu, Leia natychmiast wróci do ogrodniczek z dzieciństwa i włosów związanych w długi kucyk. – Ta okazja to transport żywności dla głodujących uchodźców na Wobani, więc nie powinnam wplatać we włosy pereł.

2V demonstracyjnie wyprostowała górną część korpusu, obruszona.

– Nie ma powodu wygłaszać tak idiotycznych stwierdzeń! Doprawdy, pereły zrobiły się obecnie tak niemodne...

Królewska rodzina wolała korzystać z głównego, publicznego kosmoportu w Alderze. Leia wielokrotnie wsiadała tutaj na statek z jednym lub obojgiem rodziców... Tym razem jednak po raz pierwszy sama nakazała przygotować statek do podróży na inną planetę. Wydanie tego polecenia za pośrednictwem pałacowego majordoma, Tarrika, wydało się jej niemal czymś zwyczajnym. Kiedy jednak ujrzała „Tantive IV”, rozmiary statku zaskoczyły ją, jakby również widziała go po raz pierwszy. Myśl o tym, że jest do jej dyspozycji, że dwudziestu kilku członków załogi czeka na jej rozkazy, budziła w niej ekscytację. Od miesięcy – a może nawet od lat – czekała z niecierpliwością, aż będzie mogła samodzielnie robić ważne rzeczy. Ten okres w jej życiu zaczynał się właśnie dziś.

Kiedy rozpoznała podchodzącego do niej mężczyznę w szarej koszuli, wyprostowała się i splotła dłonie pod osłoną szerokich rękawów sukienki.

– Kapitanie Antilles, dziękuję za tak szybkie przygotowanie statku. Kiedy możemy wyruszać?

– Do godziny, wasza wysokość. – Uśmiechnął się do niej, przechylając lekko głowę. – Może pani na nas liczyć. – Zasalutował jej szybko i wrócił do obowiązków.

Leia się nie poruszyła. Czemu nie spodobała się jej ta odpowiedź? Kapitan Antilles mówił uprzejmie, z szacunkiem, z sympatią. Nie wątpiła przecież w jego lojalność i chęć wykonywania rozkazów. Ale przechylał głowę, jakby...

„Nie widzi we mnie przywódczyni. Nadal myśli o mnie tak, jakbym była małą dziewczynką”. Zmarszczyła brwi. „Uważa, że jestem słodka – uch!”

Postąpiłaby głupio, gdyby dała się tym zaskoczyć czy gdyby poczuła się urażona. Kapitan znał ją od wczesnego dzieciństwa, a przecież Leia była świeżo po Dniu Żądania. I wciąż jeszcze rosła... A przynajmniej miała taką nadzieję. Jak często mówiła jej matka, władzę można otrzymać, ale na autorytet należy zasłużyć.

Od dziś zacznie robić wszystko, by rzeczywiście tak się stało. Niebawem i kapitan Antilles, i rodzice przestaną wątpić w jej umiejętności.



Podróż na Wobani przebiegła szybko i bez przygód. Leia spędziła większość czasu w ładowniach, sprawdzając, czy cała żywność jest właściwie przechowywana, i upewniając się, że oficerowie mają jasne instrukcje dotyczące jej dystrybucji. Kiedy dotrą na planetę, Leia zorientuje się w układzie stacji przesiedleńczej i wtedy będzie mogła wyznaczyć miejsce, w którym urządzi punkt udzielania pomocy.

– Takie proste, jak wrzucenie do wody Kalamarianina – mruknęła pod nosem. (To utarte powiedzenie znali wszyscy, ale bawiąc się z kalamariańskimi dziećmi w basenach kompleksu senackiego odkryła, że w takiej sytuacji najpierw należało skłonić Kalamarianina, żeby wypłynął na powierzchnię – bo trudno wepchnąć do wody kogoś, kto już pod nią jest).

Na Wobani nie potrzebowali sprzętu i strojów dostosowanych do klimatu. Położona na Środkowych Rubieżach planeta cechowała się klimatem umiarkowanym, wilgotnym, ale niewyróżniającym się niczym szczególnym, a oni mieli wylądować na tyle blisko równika, by śnieg nie stanowił żadnego problemu. Wobani nigdy nie należało do szczególnie zamożnych planet, nie miało też dużej populacji i jego mieszkańcy utrzymywali się głównie z produkcji części konstrukcyjnych i zbroi oraz z uprawy zbóż i przypraw lubiących bagienne warunki. Jak wiele innych światów, Wobani funkcjonowało nieco powyżej progu przetrwania, brało tylko skromny udział w handlu międzyplanetarnym i nie żywiło ambicji, by zająć ważniejszą pozycję w galaktyce.

Jednak sześć lat temu Palpatine rozpoczął realizację Programu Wspierania Produkcji Towarów Pierwszej Potrzeby, który miał zapewnić całej galaktyce lepszy dostęp do żywności i surowców organicznych. Jak w przypadku wielu innych obietnic Imperatora, było to kłamstwo, służące jako przykrywka dla innych planów – rodzice Lei nauczyli ją, jak to dostrzegać. Na Wobani nałożono normy niemożliwe do spełnienia, a kiedy rolnicy na planecie ich nie osiągnęli, nakładano na nich grzywny. Duże obszary

państwowej ziemi zostały nadane rozmaitym urzędnikom imperialnym, którzy mieli jakoby zarządzać nimi lepiej. W rzeczywistości oznaczało to, że właśnie oni czerpali wszelkie zyski, zaś Wobanie stawali się coraz biedniejsi i głodniejsi.

Program Wspierania Produkcji pogorszył sytuację na każdej planecie nim objętej, ale gospodarka Wobani całkowicie się załamała. Głód stał się powszechny. Kiedy posyłał się sektor rolniczy, do przemysłowych miast napłynęły tłumy zdesperowanych osób szukających zatrudnienia – fabryki mogły więc obniżyć płace i zmuszać wszystkich do pracy w niebezpieczniejszych warunkach. Mieszkańcy planety zrobiliby teraz już wszystko, żeby tylko przetrwać. Zaczęto mówić o budowaniu na tym świecie imperialnych więziennych obozów pracy – była to w praktyce jedyna branża, która mogłaby się tu utrzymać, a morale mieszkańców tak podupadło, że godzili się na takie pomysły. Wolność przemieszczania się między układami gwiazdowymi stanowiła podstawową zasadę w galaktyce, ale Imperium objęło Wobani ścisłymi ograniczeniami podróży, aby „zapobiegać jego eksploatacji”. W Senacie powszechnie uważano, że te zakazy miały pomóc w ukryciu dramatycznej sytuacji planety.

Lei wydawało się to wprost śmieszne. Wszyscy senatorowie i ich pracownicy wiedzieli o kryzysie na Wobani, nikt jednak nie poruszał tego tematu na głos. Gdyby po prostu mówiono publicznie, jak jest naprawdę, te informacje dotarłyby do wszystkich, na każdej planecie, wszędzie, i nie byłoby potrzeby ukrywania tego, co się tam dzieje.

Nawet jej ojciec nic o tym nie mówił. Jego milczenie wzbudzało w niej jeszcze większą złość niż sama blokada.

Nie powiedziała więc rodzicom, jaki cel misji obrała. Dobrze obeznana z procedurami podróży, najpierw wystarała się o pozwolenie na lądowanie dla statku dyplomatycznego. Komuś, kto reprezentował królewską rodzinę z Alderaana, pozwolenie takie wydawano niemal automatycznie. Kapitan Antilles mógł sobie myśleć o niej jak o dziecku, ale nigdy nie sprzeciwiłby się zabranii przez nią „Tantive IV” na misję, która miała już pozwolenie. Zapewne uznał, że to jej rodzice zarezerwowali statek, ale Leia nie zamierzała się przecież przejmować jego błędnymi założeniami.

Wyobraziła sobie, jak wraca na Alderaan, wchodzi do pałacowej jadalni i wyjaśnia jak gdyby nigdy nic rodzicom, że udała się samodzielnie na Wobani, owszem, do tego miejsca kryzysu politycznego, o którym nawet członkowie Senatu – jak jej ojciec – nie ośmielali się mówić. Dopiero im pokaże...

W rzeczywistości Leia nie chciała im niczego „pokazywać”. Pragnęła jedynie, by znów ją dostrzegli.

Melancholia minęła jej bez śladu, kiedy z komlinka rozległ się głos kapitana Antillesa.

– Wasza wysokość, rozpoczynamy podchodzenie do lądowania.

– Dziękuję, kapitanie. Zaraz będę. – Założyła na głowę kaptur sukienki i skierowała się do rampy. Tylko chwile dzieliły ją od jej pierwszej, zapewne najśmielszej misji humanitarnej i Leię przepełniało przemożne pragnienie, by zrobić coś, co będzie miało znaczenie – zarówno dla jej

rodziców, jak i dla całej galaktyki. Była pewna, że zdoła tego dokonać.

Ta pewność trwała do momentu, w którym właz „Tantive IV” odsunął się i odsłonił piekło.

Leia wyszła na zewnątrz, rozchylając usta w osłupieniu. Falujące wzgórza, na których dawniej rosły soczyście zielone łąny wiosennych kłosów, teraz pokrywała tylko błotnista ziemia – sterczały z niej nieliczne, pożółkłe badyle, pozostałości po roślinach nieradzących sobie już w tym środowisku. Niebo Wobani było lekko zamglone – jak zwykle przy zanieczyszczonym powietrzu – i ten smog zapewne już nigdy nie miał się rozwiać. Sama planeta nie stanowiła jednak aż tak smutnego obrazu, jak jej mieszkańcy.

Wokół terenu przeznaczanego na lądowiska we wszystkie strony, aż po horyzont, rozciągały się tandetne, prefabrykowane schrony, takie, jakie zwykle się zabierać na długie piesze wędrówki, żeby spać w sercu dzikiej przyrody. Obiekty nie nadawały się do codziennego użytku, jednak wyglądało to tak, jakby te tysiące osób mieszkało w nich od wielu miesięcy. W błotnistych drózkach między budynkami wydeptano głębokie ślady. W każdym z tych rozklekotanych schronów mieszkała rodzina, a być może i dwie. Alderaanczyków otaczali zmizerniali ludzie w brudnych, podniszczonych ubraniach i z gorączkowym głodem w oczach, który Leię przerażał w takim samym stopniu, jak poruszał. Nie zdążyła jeszcze zejść z platformy, a Wobani już wołali i krzyczeli do niej, błagając o pomoc.

Nikt jednak nie zbliżył się bardziej, bo platformę otaczali szturmowcy z karabinami blasterowymi w dłoniach. Ich białe pancerze były poszarzałe i poplamione błotem.

Oficer imperialny wszedł po krótkiej rampie korwety. Jego wzrok był równie pozbawiony życia, jak ton jego głosu.

– Misja humanitarna z Alderaana?

– Tak. – Leia przygotowała sobie wcześniej kilka wersji tego, co chciała powiedzieć – coś wyniosłego, coś wyzywającego, w zależności od tego, jak zostanie przyjęta. Jednak wszystkie te starannie opracowane przemowy zabrzmiałyby pusto w obecności tego głodnego tłumu. – Jesteśmy... Możemy przystąpić do pracy.

Oficer wzruszył ramionami.

– W porządku. – Wykonał ręką szybki gest i wszyscy szturmowcy stanęli w pozycji spoczyn.

To, co się stało potem, wyglądało w oczach Lei jak lawina w Masywie Grindel, a może nagła powódź. Fala ludzi, większa i szybsza, niż sądziła, że to możliwe, runęła na platformę lądowniczą, wzbierając przy jej brzegach – niektórzy wspinali się na nią, inni wskakiwali lub wciągali innych. W ciągu kilku sekund Leia i jej załoga znaleźli się w kręgu szeroko otwartych oczu i wyciągniętych rąk. Zalały ją okrzyki:

– Potrzebujemy jedzenia!

– Urządzenia do oczyszczania wody! Macie?

– Cokolwiek, błagam, dajcie nam cokolwiek!

Kapitan Antilles starał się odepchnąć tłum. Kątem oka Leia dostrzegła, jak jeden z członków załogi próbuje ustawić pierwszy ze stołów, które miały służyć do rozdawania zapasów, w zamyśle spokojnego i uporządkowanego. Oficer imperialny stał na rampie wśród przepychających się mieszkańców, patrząc z uśmiechem na całe zamieszanie.

Na widok tego uśmiešku nie wytrzymała. Jej lęk rozwiął się pod naporem nagłego gniewu. Wskoczyła na stół i wrzasnęła:

– CISZA!

Tłum zamilkł – zapewne tylko z zaskoczenia, że takim rozkazującym tonem przemawia niewysoka, nastoletnia dziewczyna, ale dla Lei liczył się tylko efekt. Kapitan Antilles odczepił od pasa moduł głośnomówiący i podał go jej.

– Słuchajcie! – zawołała. Moduł ustawiła na największą głośność, tak więc jej słowa dochodziły daleko. – Nie musicie się śpieszyć. Nie musicie się przepychać. Mamy jedzenie dla wszystkich.

Ledwo. Bo sądziła wcześniej, że przywiezione przez nich zapasy wystarczą im na kwartał lub dłużej, ale zgromadzony tu tłum był tak duży i tak wynędzniały, że z pewnością pochłonie tę żywność w ciągu najwyżej kilku tygodni. Jednak lepsze coś niż nic... A ci ludzie rzeczywiście nie mieli nic.

– Dajcie nam chwilę, a ustawimy stoły do rozdawania zapasów. Może... może moglibyście w tym czasie znaleźć tych, którzy najbardziej potrzebują pomocy, starszych, chorych... Moglibyście ich przyprowadzić do przodu, żeby byli pierwsi i nie musieli stać i czekać, bo i tak każdy dostanie wszystko, czego potrzebuje. Wszystko, co mamy. Rozumiecie?

W szeregach Wobanian zaszemrało i Lei przemknęło przez głowę, czy przypadkiem nie rzucą się jednak na „Tantive IV”... Zaraz jednak ci, którzy dopchnęli się najbliżej, zaczęli się cofać, żeby zrobić przy rampie więcej miejsca. Widziała, jak w tłumie niektórzy zaczynają prowadzić do

przodu małe dzieci i starą kobietę. Niebawem z pewnością pojawi się tu więcej takich osób...

– W porządku. – Leia zeskoczyła ze stołu. Dół jej sukienki rozwiął się nieelegancko – tak z pewnością uznałyby 2V. Stanie na stole i wrzeszczenie jak opętana też wytknęłyby jako zachowanie zdecydowanie niedystyngowane. Nie do końca takie wrażenie Leia chciała wywierać – w końcu miała być przywódczynią...

Kiedy jednak odwróciła się, żeby oddać kapitanowi Antillesowi modul głośnomówiący, ten patrzył na nią inaczej. Nie przechylał już pobłażliwie głowy. Aha, czyli raz na jakiś czas przewodzenie innym wymagało jednak zlekceważenia tego, co wypada, i wrzeszczenia tak głośno, jak się da?

– Za kilkanaście minut będziemy gotowi, wasza wysokość.

Leia skinęła głową i zabrała się do pracy.

Mogli zaprogramować droidy do rozdawania darów, ale wolała przeznaczyć je do wyciągania skrzyń z ładowni. Chciała, żeby Wobanianie widzieli uśmiechnięte twarze żywych istot, żeby to organiczne ręce podawały im jedzenie. „Nie zapomniano o was” – myślała, wręczając paczki kolejnym osobom. „Imperium nie pozwala nam was uratować, ale możemy wam jednak pomóc”.

Nie mogła mówić czegoś takiego na głos, otoczona przez szturmowców pod bronią. Czuła jednak, że ten przekaz dociera do potrzebujących.

Kiedy chaos rozdawania darów się skończył, na platformie lądowniczej zostało trochę osób, czekających na konsultację u droida medycznego ze statku. 2-1B leczył złamane kości i zszywał rany. Leia cieszyła się, że mogli zrobić

choć tyle, ale Wobanie nie potrzebowali przede wszystkim wyciągnięcia z tej rozpaczliwej sytuacji. A ona mogła tylko nieco im w tym ulżyć – i to na bardzo krótko.

– Okropne sceny. – Kapitan Antilles stał obok niej z rękami założonymi za plecy. – Przypomina mi to, jak wielkie szczęście mamy, mieszkając na Alderaanie.

– O tak.

Leia zawsze sądziła, że jest świadoma zła istniejącego w galaktyce. Rodzice zawsze mówili z nią szczerze o okrucieństwach rządów Palpatine'a. Jednak wiedza o cierpieniach innych stanowiła coś zupełnie innego niż patrzenie na to z bliska. W drodze na Wobani czuła, że czyni coś wspaniałego. Na miejscu odkryła jednak, że jest bezradna.

„Jak mam się do tego odwrócić plecami? Jak mam odlecieć z Wobani, wiedząc, że oni muszą tu zostać?”

Nagle w jej głowie pojawiła się myśl: „Nie zostawię ich”.

Imperium dało jej pozwolenie na lądowanie. A teraz da jej też pozwolenie na wprowadzenie na pokład korwety tyłu uchodźców, ilu się zmieści, i wywiezienie ich stąd na dobre.